Tarnowski Stanisław

Recenzja: A-m M-cz przez dr. J. Kallenbacha

(Przegląd Polski 1897, październik).

Tom 125. Nr. 376.

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK TRZYDZIESTY DRUGI.

Zeszyt IV. Miesiąc Październik 1897 r.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1897.

SPIS RZECZY.

☞ Adres Redakcyi: Rynek główny Nr 44, II piętro.

Kronika literacka.

— *Adam Mickiewicz*, przez dra Józefa Kallenbacha profesora literatur słowiańskich w uniwersytecie Fryburskim. 2 tomy. (Kraków. Spółka wydawnicza polska, 1897 r. 8⁰. Tom. I. str. 301. Tom. II. str. 430). — „Sto lat mijało“ — od wielu zdarzeń wielkich lub strasznych, i od urodzenia Mickiewicza między niemi. Pamięć tej rocznicy, obudzona i wszystkim przytomna, objawia się na różne sposoby. Nie najmniej właściwym i dobrym, są prace piśmienne, Mickiewiczowi poświęcone i służące do lepszego zbadania jego dzieł, do lepszego objaśnienia jego chwały. Prof. J. Kallenbach nie myślał o rocznicy, kiedy przed dziesięciu laty postanawiał napisać książkę o Mickiewiczu i brał się do pracy; ale dobrze się stało, i nie bez jego zamiaru oczywiście, że pracę mógł ukończyć i wydać na ów pamiętny rok 1898 — otworzył niejako szereg tych, które przez ciąg przyszłego roku niewątpliwie ukazywać się będą. Piękny początek; oby godnie dotrzymywały mu kroku te prace, które po nim nastąpią.

Adam Mickiewicz! Nie jakaś część jego życia, nie to lub owo dzieło, ta lub owa kwestya, odnosząca się do dzieł czy życia, ale całość. Mickiewicz jak jest: żywot i dzieła, od urodzenia do śmierci; a tak, te dzieła objaśniają się kolejami życia, i nawzajem życie objaśnia się ukrytemi w dziełach a na wierzch wydobytemi pierwiastkami uczuć i usposobień. Mieliśmy dotąd dwie takie całości. P. Piotr Chmielowski wydawał swego *Mickiewicza* pod cenzurą rossyjską; dlatego zapewne nie wnikał w najgłębsze przyczyny uczuć i natchnień, czytelnikowi nie dał wszystkich poznać dokładnie i wyraźnie. Władysław Mickiewicz znowu skrępowany był swoim charakterem syna poety: bał się może, że jako syn nie potrafi być bezstronnym. Poczuwał się do obowiązku, jako syn i jako Polak, napisania tego żywota, o którym wiedział więcej niż każdy inny; ale widocznie wstrzymywał się, nie chciał być posądzonym, że pisze *pro domo sua.* Literaturze i potomności oddał swojem dziełem usługę nieoce-

nioną, bo zostawił im zbiór najzupełniejszy wiadomości o ojcu. Wszyscy następni dostali od niego pewną podstawę, bez której ani Mickiewicza jasno i dokładnie badać, ani o nim pisać mogli z zupełnem zaspokojeniem, że wiedzą o nim dosyć, a piszą nie na domysł, tylko na pewno. Ale ten — słuszny i szanowny — wzgląd bezstronności sprawił, że dzieło jest nieprzebranym zbiorem wiadomości raczej, niż organicznym obrazem postaci i życia poety. A tymczasem taki *Mickiewicz* całkowity, był potrzebą naszej literatury, i jej powinnością. On, przed wszystkimi innymi, miał prawo do klassycznego pomnikowego dzieła, niby posągu w literaturze polskiej; i nie miał go, kiedy mieli już inni. Prawda, że jego wizerunek najtrudniejszy. Kiedy Małecki dał nam *Słowackiego*, musiał z pewnością w pocie czoła pracować nad zrozumieniem i określeniem tego zawiłego charakteru i tego kameleonowego talentu. Zrobił to tak, jak u nas przynajmniej żaden krytyk żadnego poety lepiej nie poznał i nie dał poznać. Ale zdaje nam się, że łatwiej jest sobie i drugim zdać sprawę z zawiłości i chorobliwości wiotkiej nie męzkiej natury, aniżeli z takiego umysłu, charakteru i talentu, w którym jest prawdziwa męzka wielkość, siła, potęga i prostota, a który mimo potęgi, co dziwniejsza mimo prostoty, wpada w zawiłości, w sprzeczności, w pomyłki. Psychologia Mickiewicza wydaje nam się trudniejszą do wyrozumienia i wytłómaczenia, aniżeli Słowackiego lub Krasińskiego. Do niedawna jeszcze nie dawała się prawie badać, musiała przestawać na domysłach i przypuszczeniach. Teraz, odkąd mamy w ręku *Korespondencyę* i *Żywot* napisany przez syna, badanie ma się już na czem śmiało i mocno oprzeć; ale stało się tylko ułatwionem i możliwem, nie stało się łatwem. Te literackie wizerunki i posągi Mickiewicza, te dzieła jemu poświęcone, są poniekąd podobne do tych spiżowych, które stawiać chcemy. Dużo szkiców, projektów, fragmentów, tu i owdzie nawet cały pomnik; ale na żaden jeszcze nie powiedzieliśmy: „To ten! To taki, jakiego potrzebujemy i chcemy. To Mickiewicz, jak być powinien!...“

Czy p. Kallenbach dał nam takie pomnikowe klassyczne dzieło o Mickiewiczu? takie, które spełnia wszystkie warunki, i zostaje nazawsze, bo lepszego i piękniejszego żądać trudno, od współczesnych czy potomnych? Nie. Można sobie wyobrazić piękniejsze, i o takie należy się starać. Jeszcze to nie jest to, na czem moglibyśmy z zupełnem zaspokojeniem poprzestać; jeszcze pragnąć można wyrazistszych żywszych rysów postaci, jeszcze w autorze samym więcej ognia, więcej przejęcia się miłością dzieł, o których mówi, i więcej daru udzielenia czytelnikowi własnego podziwu i zapału. Wreszcie, w samym sposobie pisania, pragnęlibyśmy nie klassycznej czy romantycznej retoryki, nie szumności i tak zwanej niegdyś górności, nie lirycznych dygressyj lub wykrzykników, ale tego podniosłego tonu, który bez frazesów

i wykrzykników w prostocie swojej ma, i czytelnikowi udziela, to jakieś *sursum corda*, które z duszy piszącego bez jego wiedzy przechodzi w jego styl i pióro, a które przystałoby, należałoby się, dziełu o Mickiewiczu.

Nie ideał polskiego dzieła o Mickiewiczu, ale ze wszystkich dotąd najlepsze — oto w dwóch słowach nasze zdanie o dziele p. Kallenbacha. Częściowych studyów i monografij, o pewnem dziele lub pewnym okresie życia, mamy niemało — i mamy między niemi świetniejsze od tego, co nam dziś dał p. Kallenbach. Takiej całości żywota i piśmienniczego zawodu jeszcze nam się czytać nie zdarzyło. Umiejętność, gruntowność, metoda w pracy, jeżeli co zostawia do życzenia i nasuwa jaką wątpliwość, to chyba tę, czy niema jej zawiele. Intelligencya, trafne zrozumienie rzeczy nie zostawia do życzenia nic. Czasem, przy *Wallenrodzie* zwłaszcza, a może i przy *Panu Tadeuszu*, pragnęlibyśmy może wyraźniejszego, gorętszego pokazania i wytłómaczenia ich piękności; ale do zarzucenia i wytknięcia nie mamy nic. To zaś, co najtrudniejsze, najmniej dotąd zrozumiałe i wyjaśnione, skłonność do mistycyzmu, tkwiąca w Mickiewiczu od początku, godząca się — nie wiedzieć doprawdy jak — z jego prostotą i trzeźwością, wzmagająca się po roku 1831, a dochodząca aż do Towianizmu, to w żadnej nam znanej książce nie było tak zbadane, wyrozumiane i przedstawione, jak tu. To jest prawdziwa nowość, to jest nabytek, to jest wielka wartość i zasługa dzieła, którego tom drugi skutkiem tego stoi zdaniem naszem wyżej od pierwszego. Wpływ, jaki wywarł na Mickiewicza St. Martin, uprawienie gruntu pod zasiew Towiańskiego, wreszcie Towiański sam, jego krótko skreślona nauka, jego stosunek z Mickiewiczem, stosunek fanatycznego zaślepienia zrazu, częściowego otrzeźwienia z czasem, przedstawione są tak, że polski czytelnik może nareszcie dowiedzieć się dokładnie, jak się to stało, i zrozumieć, że się stać mogło.

Jeszcze raz: nie klassyczne dzieło o Mickiewiczu, nie stanowczy raz na zawsze jego posąg, ale najlepsza jaką dotąd mamy rzecz o całości jego życia i zawodu.

Biograficznych nowych wiadomości niema, być ich nie może. Od lat trzydziestu gromadziły się one ciągle, aż wreszcie p. Władysław Mickiewicz ukoronował tę przygotowawczą pracę, powiedział o życiu ojca wszystko, co tylko wiadomem być mogło, tak, że po nim chyba przypadek odkryje jaki szczegół nieznany i zapomniany. Pod tym względem więc nie znajdzie się w dziele p. Kallenbacha nic nowego; a z tego wynika, że pierwsze rozdziały książki, dzieciństwo i lata nauki, z natury rzeczy wyłącznie biograficzne, najmniej były dla autora do traktowania wdzięczne. Jednak zajmujące i z życiem skreślone są wizerunki wileńskich profesorów, Śniadeckiego, Groddeka, Borowskiego, a bardzo starannie zbadane, bardzo trafnie ocenione w swojej

zależności i niewprawie; są pierwsze próby pióra przyszłego poety, wiersze, czy prozaiczne rozprawy, niemniej stosunek jego do przyjaciół, i charakter związku Filomatów. Kończą się nauki, zaczyna się służba w Kownie, i zaczyna się poezya. W głowie młodzieńca gromadzą się pierwiastki *Ballad* i *Romansów*, a z jego serca wyrywa się pierwszy potok natchnienia w kształcie *Ody do młodości*.

Autor widzi słusznie pewne pokrewieństwo duchowe między Mickiewiczem a Schillerem, dochodzi słusznie do wniosku, że na Mickiewicza młodzieńca Schiller wywarł wpływ silniejszy, niż którykolwiek inny poeta; czy nie zanadto zapuszcza się w szczegóły, kiedy porównywa *Odę* i Schillera *Das Ideal und das Leben?* wskazuje podobieństwa jak różnice, i widzi w zachwytach Mickiewicza zmysł praktyczny i cel określony, kiedy Schiller rozpływa się w ogólnym idealizmie. Podobieństwo usposobień i uczuć jest niewątpliwe; ale podobieństwo niektórych wyrażeń może być zupełnie przypadkowem. Schiller zostawił w umyśle Mickiewicza stały osad ogólnych wrażeń, ale nie zdaje nam się, iżby Mickiewicz był myślał o pewnym oznaczonym jego wierszu, kiedy pisał swoje. Za to czujemy pewien brak w tym ustępie o *Odzie*. Była ona, i jest dotąd, bardzo różnie sądzoną; budziła fanatyzm uwielbienia i gorzkie oburzenia. Że była nieraz naciąganą i nadużytą, to się nie da zaprzeczyć. Jak więc pojmował ją sam poeta, kiedy ją pisał? co było jego prawdziwą myślą? dlaczego Zan i Malewski uznali *Odę* za „głupią?“ Co w niej jest prawdziwego, a co mylnego? Autor nie tyka tych kwestyj, a one są ważne, właśnie dlatego, że *Oda* miała swoje skutki praktyczne w naszem życiu: do dziś dnia kto chce młodym pochlebiać, a pochlebstwem pozyskać i opanować, posługuje się w tym celu wyjątkami i hasłami wyjętemi z *Ody*. Nam się zdaje, że Mickiewicz pisał ją bez żadnych restrykcyj, jako śmiały manifest ufnej w siebie a nieznającej życia młodości, że tak trzeba ją rozumieć i przyjmować, a jego złudzeń i pomyłek nie taić ani osłaniać. Kilka lat temu nie trafił nam do przekonania wykład pani Konopnickiej, że to oda do wiecznej młodości ducha, nie do młodzieży; dziś nie trafia nam do przekonania p. Kallenbach, kiedy mówi, że sławne: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“ z *Pieśni Filareckiej*, to jest upomnienie do uczącej się młodzieży, żeby brakiem sił nie wymawiała wrodzonej niechęci do pracy.

Następuje pierwsza miłość. Narażamy się na gniew i wzgardę serc czułych i dusz poetycznych, ale wyznajemy otwarcie, że z całej trójki najbardziej sympatycznym, najprawdziwiej poetycznym, wydaje nam się ten najprozaiczniejszy właśnie narzeczony, a później mąż. Panna zaręczona z jednym, a pisująca do drugiego (pod kopertą trzeciego) z pewnością nie była przewrotna, dowiodła tego całem swojem późniejszem życiem; ale

miała oczywiście przewróconą głowę. Młoda mężatka przez czas dość długi nie żona swego męża, zdaje nam się zasługiwać na epitet jakim poufnie opisywał ją Odyniec: „Rozgrymaszona pensyonarka“. Młody poeta rozpaczał, ale pisał i drukował wiersze o swojej rozpaczy, spowiadał się przed całym światem z tajemnic swego serca. *Odi profanum vulgus et arceo* doznało od niego bardzo wyraźnego i stanowczego zaprzeczenia. Musiał zresztą mieć długie chwile wolne od rozpaczy, skoro w trakcie tej nieszczęśliwej miłości mógł pisać *Grażynę*. A tymczasem jak musiał być niesłychanie dobrym, jak rzetelnie i z poświęceniem musiał tę dziewczynę kochać ów młody oficer, który tak miękko i delikatnie obchodzi się z uczuciami narzeczonej, który znosi bolesny i dziwaczny stosunek z żoną, byle jej serca nie zranić, byle je wyleczyć, i do siebie przywiązać!

Ale ta nawiasem wtrącona uwaga nie należy do rzeczy. Wracajmy do książki. Ładne ocenienie *Żeglarza*, zestawienie jego z *Seefahrt* Goethego, któremu to jedno moglibyśmy zarzucić, że ponury Żeglarz nie wyrzekał się chyba dalszego życia, owszem rzucił się w nie dumnie, kiedy przyjaciołom mówił: „Ja płynę dalej — wy! idźcie do domu“. Zabiegi o posadę w Krzemieńcu, *Wiersz do Lelewela* (doskonale zbadany); przez to wszystko dochodzimy do dwóch nieśmiertelnych tomików z r. 1822 i 1823.

Znany jest naszym czytelnikom i pamiętny: *Mickiewicz w Wilnie i Kownie* p. Tretiaka. Tam ten pierwszy okres twórczości poety stanowi treść całego dzieła. Rzecz prosta, że każdy szczegół, każdy wiersz, tam może być gruntowniej i wszechstronniej rozpoznanym, aniżeli tu, gdzie tensam przedmiot ściśnięty jest w parę rozdziałów. Kiedyśmy wspomnieli wyżej, że są częściowe prace o Mickiewiczu świetniejsze od niniejszej p. Kallenbacha, mieliśmy pomiędzy niewielu innemi pracę p. Tretiaka na myśli. Ale w koniecznej krótkości i zbitości, znajdujemy u naszego autora wszystko, co istotne, co charakterystyczne, co potrzebne, żeby czytelnik zrobił sobie dokładne wyobrażenie o Mickiewiczu i uzasadniony sąd o jego dziełach. Pierwiastki składowe *Ballad* zwłaszcza, gminny, zagraniczny i własny, z uczuć serca lub z natury talentu płynący, rozróżnione i uwydatnione są doskonale. Szczególnie trafnem wydaje się spostrzeżenie, że poezya samorodna — wtedy zwana gminną a dziś ludową — działała na Mickiewicza i odbiła się na balladach mniej, niż on myślał i niż chciał może Bardzo bystro, i bardzo starannie, wydobyte są na wierzch wszystkie zarody mistycznych pojęć czy skłonności, które z czasem rozwiną się bujniej, do których kiedyś odwoła się sam Mickiewicz na dowód, że „jego wiara w Andrzeja była przygotowana całem jego życiem“. Związek między *Dudarzem* a czwartą częścią *Dziadów* dostrzeżony słusznie, i wskazany. O szczegóły spierać się rzecz nie warta trudu, bo daremna. Ta lub owa ballada zawsze jednemu będzie podobała się mniej, a drugiemu więcej;

różnice takie zawsze być muszą, a na ogólny sąd o poecie wpływać nie mogą.

Znaczenie *Grażyny* należało zdaniem naszem obszerniej i gruntowniej czytelnikowi wytłómaczyć, właśnie dlatego, że ona nie jest tak ceniona, jak na to zasługuje. Pierwszy na świecie w polskiem języku poemat artystycznie piękny, pierwsze dzieło sztuki, wielkie nie rozmiarami, ale pięknością. Przed *Grażyną* takiego nie było. Kochanowski nie zostawił po sobie żadnej kompozycyi, a kiedy nie on, to któż inny miał ją zostawić? *Grażyna* była pierwsza. Od „zamku na barkach Nowogrodzkiej góry", od posłów krzyżackich i straży przy bramie, aż do Czarnego Rycerza spadającego na Niemców jak piorun, nie mieliśmy w swojej całej poezyi nic, coby się do tych piękności zbliżało, coby je dawało przeczuwać. *Grażyna* otworzyła poezyi polskiej drzwi do Panteonu wielkiej poezyi świata, i pierwsza do niego weszla. To trzeba pamiętać, to trzeba ludziom wbijać w pamięć, kiedy się o niej pisze. Niedość jest zbyć krótką ogólnikową pochwałą Litawora i Rymwida, ich niezrównaną rozmowę, a potem wytykać błędy poematu, choćby najsłuszniej. Te błędy są, każdy wie, że są; ale proszę pokazać w jakiejbądź literaturze zagranicznej poemat rozmiarami i rodzajem do *Grażyny* zbliżony, a mający tyle co ona i takich piękności, a tak, jak ona wysoki charakterem, stylem i tym prostym a wrodzonym majestatem, który jest bohaterskiej epopei najwyższym, najrzadszym przymiotem czy warunkiem?

Przy tym rozbiorze *Grażyny*, jak i przy następnych, nasuwa się nam uwaga o różnicy kierunku, czy stanowiska, między dawną a dzisiejszą krytyką literacką. Łatwiej ją uczuć, niż określić. Najtrudniej osądzić, która ma w sobie więcej warunków prawdy i trwałości, zwłaszcza jak się jest stroną w tym procesie. Należymy do starych — a jak niegdyś Osiński nie mógł zrozumieć Mickiewicza, jak deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk odrzuciła rewolucyjną rozprawę, w której Wężyk powoływał się na Lessinga i Schlegla, taksamo może my, dzisiejsi starzy, nie umiemy pogodzić się z nowszemi kierunkami nietylko poezyi, ale nawet krytyki. Zasadnicze stanowisko tej starej krytyki było to: „Poezya jest sztuką, zatem ma być piękną. Poezya przez piękność ma działać na wyobraźnię, na uczucie i na rozum". Kiedy więc mieliśmy o niej mówić i ją sądzić, pytaliśmy naprzód, i głównie, o to, czy ona temu swojemu przeznaczeniu, tej swojej istocie, odpowiada? czy ją w sobie ma? Pytaliśmy, czy ona robi wrażenie na uczuciu, na wyobraźni i na umyśle? a jeżeli je robi, to w jakiej mierze i jakiemi środkami? Zadaniem krytyki było w naszem mniemaniu stwierdzić wrażenie, a następnie dochodzić sposobów, jakiemi ono było wywarte? z tych sposobów doświadczalnym sposobem wnosić, jakie mogą być pierwiastki piękności i wrodzone warunki poezyi? O te

wrażenia i o piękność, chodziło nam głównie. Rozumie się, że nie zamykaliśmy oczów ani na usposobienie poetów, ani na zmienne koleje ich życia, ani na wpływy zewnętrzne, ani na współczesne ogólne kierunki myśli i sztuki, ani na wzory. Wiedzieliśmy, że to wszystko potrzebne, że to wszystko stopiło się razem jak mięszanina kruszców w tej formie, z której wyszedł *Dzwon* Schillera, spiżowy posąg *Wallensteina*, *Goetza*, *Macbetha*, z której jak lawa z wulkanu rozlała się *Komedya* Dantego, a jak ponury fajerwerk buchła poezya Byrona. Ale o tych częściach składowych amalgamu wiedząc i znając je, uważaliśmy więcej na amalgam jako taki — na połączenie i stopienie tych różnych pierwiastków, i na rezultat ich połączenia, na kształt, jaki ten amalgam przybrał, na wrażenie jakie robił, na linie i na wyraz posągu, na dźwięk dzwonu, czy on naprawdę może o sobie powiedzieć: *Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango?*

Dzisiejsza krytyka, jeżeli ją dobrze rozumiemy, inaczej pojmuje swoje zadanie i swój obowiązek. Ona zdaje się więcej pytać o części składowe amalgamu, aniżeli o jego ostateczne stopienie, o jego kształt i dźwięczność. Na krytykę literacką wpłynął może niewidzialnie i bez jej wiedzy wielki rozrost nauk przyrodniczych, kierunek dochodzenia, chemicznego i mikroskopowego badania. Wpływała może także na krytykę — bez wiedzy późniejszych i pochodnych, ale z wiedzą naczelnych i początkujących — filozofia pozytywna, która to tylko za prawdziwe i pewne uznaje, w to wierzyć pozwala, co się zmysłami rozpoznać i sprawdzić daje. Wrażenie? to rzecz osobista, od każdego z osobna człowieka zależna. Piękność? to rzecz względna, w następstwie czasów sto razy już inaczej pojmowana. To są względy, których nie należy brać za podstawę w sądzeniu rzeczy, bo podstawa jest niepewna, zmienna, chwiejna. Nie należy też brać ich za cel krytyki i do ich poznania dążyć, bo one się nigdy z zupełną pewnością dociec i określić nie dadzą. A tymczasem to co realne, co albo historyczne, albo etnograficzne, albo statystyczne, albo gramatyczne, to się da napewne i dociec, i stwierdzić, i określić. Mogę dojść, i twierdzić bez obawy zaprzeczenia, że między pomysłami lub wyrażeniami dwóch czy więcej poetów, zachodzą widoczne podobieństwa. Mogę wskazać, że ten ma takie, a ten inne, sposoby i zwyczaje w pisaniu. Mogę dowieść, że to lub owo pojęcie znajduje się u tego lub owego filozofa. To wszystko mogę — i mogę z zupełnem zaufaniem, z przekonaniem, że się nie pomylę. Że zaś jako człowiek naukowy mam obowiązek podawać rzeczy pewne, a nie przypuszczalne, oparte na dowodzeniu a nie na wrażeniu (lub często) urojeniu, więc trzymam się tej drogi pewnej, i zostawiając wrażenie każdemu z osobna człowiekowi jak to z natury rzeczy wynika, dochodzenie tajemnic zostawiając ideologom, sam zaj-

muję się tem, co rzeczywiste i z natury swojej docieczone, co ani mnie samego zawieść, ani drugich przezemnie uwieść nie może.

Nie śmiemy twierdzić, żeśmy trafnie oznaczyli drogę tego myślenia, ale widzimy jasno jego dotychczasowy wynik. Tym jest fakt, że krytyka literacka zajmuje się coraz mniej filozofią poezyi, a coraz więcej jej chemią. Estetyka gdzieś się podziała, zaledwo tu i owdzie widać jej ślady; na jej miejscu rozszerzają się mikroskopowe badania gramatyczne, etnograficzne, biograficzne, historyczne, psychologiczne, czasem nawet fizyologiczne. Nie mamy nic przeciw temu, nie mówimy, że to źle; proszę nie myśleć — że nieuk krzywi się na umiejętną metodę, jak lis na winogrona, *qui sont trop verts*. Rozumiemy, że to potrzebne; tylko widzimy w tym kierunku pewne braki i niebezpieczeństwo. To naprzód, że można przebrać miarę w sumienności i gorliwości badania. Już zbaczamy potrochu na tę drogę. Już tak porównywamy jednych poetów z drugimi, tak szukamy u nich pomysłów i wyrażeń podobnych, że niejeden poemat wydaje nam się już mozajką, złożoną z różnych kradzionych lub pożyczonych kawałków. Zdarzają się takie niestety! Ale poeci, nawet najwięksi i najbardziej oryginalni, muszą posługiwać się temisamemi słowami, bo innych niema. Otóż, jeżeli który porówna piękne oczy do gwiazd naprzykład, albo jeżeli powie, że niebo jest niebieskie a drzewa zielone, to jeszcze żadnego innego nie okradł, bo tysiące przed nim powiedziało tosamo, z tej prostej przyczyny, że inaczej powiedzieć nie mogli. Takie podobieństwa nie dowodzą zależności jednego poety od drugiego; nie dowodzi jej nawet tensam pomysł, tensam przedmiot, byle na swój sposób i lepiej był obrobiony. Szekspir czerpał z dzieł cudzych treść prawie wszystkich tragedyj i komedyj, i gdybyśmy ten sposób sądzenia do niego stosowali, doszlibyśmy do wniosku, że był najmniej oryginalnym z poetów. A przecież nic mu to nie ujmuje, że jaki dawniejszy dramatysta angielski lub nowellista włoski, już tosamo przed nim napisał. Mikroskop jest dobry, ale nie trzeba go nadużywać, żeby czasem nie zrobić jak ten Francuz co dowodził, że *Faust* właściwie nie jest Goethego, bo już dużo przedtem napisał go Marlowe.

Drugie zaś niebezpieczeństwo da się określić dowcipną niemiecką lokucyą: *Vor lauter Bäumen den Wald nicht sehen.* Istotnie często u nowszych krytyków w mnóstwie szczegółów gubi się i znika całość. Powiedzą oni, zkąd się wziął jaki poemat, jakie jego ingredyencye, jaka genealogia, ale jaki jest on sam i jak na ludzi działa, o tem niezawsze miałby wyobrażenie czytelnik, gdyby sam poematu nie znał, i od nich dopiero miał się o nim dowiadywać. Analiza jest rzecz bardzo potrzebna, ale sama w sobie racyi bytu niema; powinna służyć i prowadzić do wniosków, do syntezy. Chemiczny rozkład na pierwiastki jest doskonały, ale konieczne jest po nim ukazanie orga-

nicznego składu całości, jej kształtu, i tego wrażenia, jakie ona robi. Przeznaczeniem i istotą poezyi jest, i do końca świata będzie, piękność. Piękność zaś ma swoją istność i istotę własną, musi zatem mieć jakieś swoje przyrodzone prawa i warunki. Ludzkość będzie w poezyi zawsze szukała szlachetnych wrażeń dla uczucia, wyobraźni i umysłu; krytyka, choć przez czas jakiś wytchnie sobie w tej pracy, będzie niewątpliwie zawsze dochodziła i objaśniała, zkąd się wrażenia biorą i na czem się zasadzają. Estetyka, żyjąca od Arystotelesa aż do schyłku naszego XIX wieku, samem tem długiem życiem dowodzi, że musi mieć jakąś racyę bytu, jakieś prawo i jakąś prawdę sama w sobie, jakieś uzasadnienie w potrzebie ludzkich umysłów.

Dygressya ta odnosi się do ogółu, do szkoły, nie do p. Kallenbacha. Jednak i u niego także troskliwy rozbiór szczegółów bierze czasem górę nad wykładem i ocenieniem całości.

W drugiej części *Dziadów* widzi nasz autor, jak przed nim p. Tretiak, wiele piękności. Nam wydaje się ona jedną ze słabszych rzeczy Mickiewicza. Mniejsza o tę różnicę upodobań.

Za to nie możemy pominąć innej, ważniejszej. Pan Kallenbach pyta, jak wielu przed nim, jaka jest „idea podstawna“ *Dziadów*, a odpowiada, odmiennie od swoich poprzedników, że tą ideą „jest najszczytniejsza jaką po *Fauście* podjąć było można, idea znaczenia człowieka na ziemi, jego powołania, celu i przeznaczenia, idea wskazująca... że celem żywota jest niebo, ale środkiem do niego wiodącym ziemia, z swą twardą znojną pracą, boleścią, nieszczęściem... z obowiązkami dla dobra wspólnego...“ itd.

W naszym, bynajmniej nie filozoficznym, gospodarskim rozumie, przedstawia się to inaczej. Wierzymy wprawdzie, że poeta kiedy tworzy, musi coś myśleć — choć niestety bywali i tacy, którym się tylko zdawało, że coś myślą. Ale żeby poeta przed tworzeniem obierał sobie jakąś tezę, jakąś *ideę matkę* jak się autor wyraża, i żeby z tej matki dopiero rodziły się jego poemata? Zdarza się to czasem, i wydaje czasem rzeczy wielkie. Ale większość poetów tworzy z wrażenia, w wyobraźni, nie z rozmyślania, w refleksyi. Co się zaś tycze *Dziadów*, to rozumiemy ich początek może mylnie, może bardzo poziomo, ale nie upatrujemy go w podstawnej idei, tylko w prostym naturalnym popędzie uczucia. Młody człowiek cierpiał z nieszczęśliwej miłości. Był poetą, artystą; a jako taki miał tę naturę, że potrzebował wyrzucić z siebie swoje cierpienie, tworzyć na podstawie tego, co doświadczył. W tem wrodzonem usposobieniu widzimy źródło *Dziadów*, *czwartej* części, tak samo jak później *trzeciej*. Ale młody poeta był Mickiewiczem, to jest człowiekiem bardzo szlachetnym, bardzo sumiennym, i bardzo rozumnym także. Poznał więc i sumieniem i rozumem, że jego chorobliwa miłość, jego rozpacz dochodząca do pokusy samobójstwa, była zła, że

złą była później jego nienawiść mściwa, choć miała powód szlachetny, i jego pycha. Za to złe ukarał bohatera swego poematu, siebie samego, w *czwartej* części każąc mu „dla nauki scenę boleści powtarzać“, w *trzeciej* wyrzucając z niego szatana pychy exorcyzmem. W tem sumiennem i surowem osądzeniu siebie samego, jest i moralna i umysłowa wyższość Mickiewicza, i jest moralna myśl, moralna nauka jego poematu. Ale tak część *czwarta*, jak *trzecia*, jest po prostu poetyczną biografią, jest zwierzeniem własnem, jest ulżeniem swojemu sercu przez wypowiedzenie tego, co boli, opowiedzeniem różnych zmian i przejść własnej duszy. To, a nie żadna z góry powzięta *idea matka*, jest w naszem przekonaniu początkiem i popędem *Dziadów*.

Ten młody człowiek, który się spowiada ze swoich boleści, ma jakąś instynktową wiarę w bliski bezpośredni związek świata nadzmysłowego z naszym; zdaje mu się (mylnie lub nie), że ten związek czuje żywo i ustawicznie. Dlatego i w *czwartej* części słyszy pukanie duchów w stoliku, i w *trzeciej* otacza nimi siebie samego jak innych. Ale to jest tylko poboczny dodatek, naturalny wynik tego faktu, że poeta wprowadza siebie w swój poemat, nie zaś pierwiastek podstawny poematu, ani idea, która w poemacie miała być głównie uwydatnioną i przez poemat dowiedzioną. Pan Kallenbach stale i bardzo trafnie, od samego początku wydobywa na wierzch i pokazuje zarody mistycznych usposobień w Mickiewiczu; robi bardzo dobrze i słusznie. Słusznie, bystro, i naturalnie liczniej niż dotąd, znajduje je w *Dziadach* i każe na nie uważać. Ale ta strona rzeczy objęta jest naszem zdaniem i zawarta w ogólnem usposobieniu Mickiewicza, a w jego zwierzeniu znalazła się jako część, jako jeden szczegół, nie jako idea, z której poemat miałby się niby wysnuwać. W naszem, może mylnem, przekonaniu, *Dziady* są przedewszystkiem poematem biograficznym, wylewem własnego uczucia i jego osądzeniem; a ich początkiem jest wrodzony popęd i potrzeba uczucia, osobistego w *czwartej części*, w *trzeciej* także osobistego, tylko zwróconego już do innego przedmiotu. A jak w *części czwartej* uczucie nieszczęśliwej miłości, tak w *trzeciej* miłość ojczyzny, wyraziła się tak potężnie, że przez nią, w cierpieniu jednego człowieka poznają się wszystkie cierpienia podobne milionów ludzi.

O *Sonetach* mówi autor naszem zdaniem za mało. Przyznaje, że „nikt dotąd tak polskich słów nie używał“, ale sądzi, że „znaczenie ich w rozwoju duchowem poety nie jest doniosłe“. Nam się wydaje, że one z jednej strony dają poznać ogromny postęp artysty i lirycznego poety, a z drugiej są bardzo ciekawym śladem przemiany w człowieku. To uczucie zbolałe, ale uciszone, a zarazem zwracające się nieznacznie od dawnych miłosnych, do innych przedmiotów i cierpień, to w psychologii Mickiewicza świadectwo nie obojętne. Czego brak zu-

pełny, to rozróżnienia między sonetami miłosnemi, poświęconemi straconej kochance, a temi, które mają za przedmiot kochankę nową, odeską. Charakter tych ostatnich, podług nas trochę gruby a nie okupiony namiętnością, pominięty jest zupełnie. Ale jeżeli tego jest brak, to zaraz następuje zbytek, który z żalem wytknąć musimy. Autor zestawia *Sonety* Mickiewicza z sonetami Heredii, które temu poecie „otworzyły podwoje Akademii francuskiej, choć nie wznoszą się artyzmem po nad sonety Mickiewicza, a co do uczucia są może od nich niższe...“ Doprawdy? te naszpikowane erudycyą, te widocznie na urząd i na pospolity efekt robione, te pozbawione właśnie wszelkiej świeżości myśli i wszelkiej szczerości uczucia, te *może są niższe* od Mickiewiczowskich?? Żałujemy, że nie umiemy pisać sonetów, bo w odpowiedzi lubilibyśmy zdobyć się na taki, w którym jeden wiersz kończyłby się na *Heredia*, a drugi, dla rymu (złego wyznajemy) kończyłby się na *herezya!*

O *Wallenrodzie*, z większym tylko żalem, powtórzyć musimy to, cośmy powiedzieli wyżej o *Grażynie*. Wszystko jest: i jego układ w ciągu pisania zamieniony, i (bardzo ciekawe) niemieckie historyczne źródła, i ślady wpływu Byrona, i wpływ oczywisty Rosyi i Rosyan na Mickiewicza, i nawet potęga natchnienia, tragiczność postaci — wszystko! Tylko — chciałoby się, żeby to ostatnie było podniesione o jeden ton, czy jedną oktawę wyżej, żeby ze słów krytyka jego czytelnik mógł poznać, jaki ogień wre w sercu Konrada, Halbana — i Mickiewicza, żeby z tego ognia więcej iskier padało w serce i jednego i drugiego. A prócz tego, dwie uwagi, te już ściśle *rzeczowe, objektywne*. Mówiąc o *Wallenrodzie* nie można nie wyróżnić, nie podkreślić *Powieści Wajdeloty;* nie można zbyć jej krótko i lekko, bo przecież bez niej nie byłoby *Wallenroda*. W niej tkwi jego siła, jego namiętność, jego tragizm, jego wielkość. A dalej: mówiąc o *Wallenrodzie*, nie można pominąć kwestyi jego moralnej wartości, jego nauki. Nie wystarcza nazwać go „męczennikiem idei“, trzeba powiedzieć, jaka to idea, i czy męczeństwo jego nie jest fałszywe i zgubne. Darmo: myśl podstawna *Wallenroda*—przy nim o myśli podstawnej mówić można— „dla ojczyzny wszystko zrobić się godzi, nawet zbrodnię“, jest zła; i to powiedzieć należało. Należało nawet ze względów praktycznych, skoro *Wallenrod* nieraz miał służyć za przykład niby i wymówkę przy używaniu złych środków do dobrego celu.

Pobyt w Petersburgu a w nim zwłaszcza Oleszkiewicz, Niemcy, Rzym, rok 1831 i pobyt w Wielkopolsce, wszystko to krótkie, ale wystarczające, trafne. Nawet, wyznajemy z pokorą, sąd dość surowy o *Krytykach i Recenzentach warszawskich*, który nas zachwiał w powziętej za młodu wierze w nieomylność tej satyrycznej polemiki. Czy nie zanadto wagi przykłada p. Kallenbach do romansu Mickiewicza z Henryką Ankwiczówną? Ody-

niec poetyzował w *Listach* ten romansik, i przesadził go; inni po nim stworzyli *Ewunię* i legendę o Ewuni. Bezpieczniej może w tej sprawie trzymać się tego, co o niej mówi Władysław Mickiewicz.

Przychodzimy do *trzeciej części Dziadów*.

Tu na wstępie wytknąć musimy, że wpływ przegranej roku 1831 na Mickiewicza, nie jest dość uwydatniony. Ta wstrząsła całą jego duszą, nadała kierunek całej jego dalszej poezyi, zdecydowała o całem jego dalszem życiu duchowem. Przedewszystkiem to zrodziło *Dziady*, z których znowu jak ze źródła wypłynęła cała nasza poezya patryotycznie przeczuciowa i wieszcza. Już w wileńskiem więzieniu pytał Mickiewicz, co Bóg myśli, że dobrym sprawom nie daje zwycięztwa; powtarzał to pytanie w Rosyi, przez lata. Ale teraz, po tej klęsce, pytanie odzywające się z różnych ust od r. 1795, opanowało go z całą mocą, aż wybuchło z niego *Improwizacyą*, tem powtórzeniem (tylko silniejszem) pytania, które było w każdem sercu polskiem od rozbioru. Ta strona rzeczy, to znaczenie *Improwizacyi*, i tej części *Dziadów* w ogólności, nie występuje dość wyraźnie, nie narzuca się czytelnikowi dość energicznie. Jak również niedość wyraźnie uwidocznione jest to, że na zuchwałe pytania dumnego Konrada, odpowiedzią jest widzenie pokornego księdza Piotra.

To nasz zarzut największy, właściwie jedyny ważny.

Ciekawa jest ta pokusa dramatu, która Mickiewicza nachodzi, to szukanie jakichś jego form nowych, i złudzenie, że znalazł je w nieznanych dziś, jak odrazu zapomnianych *Soirées de Neully*, dwóch wspólników Dittmer i Cabe. Jednak w tem, co sam pisał, złudzić się nie dał, i nie nazwał *Dziadów* dramatem, pomimo ich dyalogowej formy i podziału na sceny. W ustępie o Widzeniu księdza Piotra, znajdujemy uzasadnione wytłómaczenie sławnych *Czterdziestu i czterech*. Mistycy i kabaliści przywiązywali szczególną wagę do liczb, widzieli w nich symbole czy przepowiednie ludzi i zdarzeń. Czwórkę, jej mnożenia i potęgi, otaczali szczególnem uszanowaniem. Robił to w szczególności St. Martin, którym Mickiewicz już w tych latach zajmował się pilnie. Ztąd wzięła się ta cyfra, która w myśli poety oczywiście coś oznaczała. Co? tego p. Kallenbach słusznie nie próbuje dochodzić, bo nie dojdzie nikt, jeżeli nie odkryje się kiedy jaki współczesny i autentyczny komentarz Mickiewicza samego, a tego spodziewać się trudno.

Że w szczegółach i upodobaniach nie zawsze zgadzamy się z autorem, że naprzykład *Opowiadanie o Cichowskim* nam wydaje się daleko niższem od *Wywożenia kibitek* a na nim robi wrażenie większe, albo że *Widzenie Ewy* nie zachwyca nas tyle co jego, to są rzeczy podrzędne. Przy *Improwizacyi* za to mielibyśmy do zrobienia tę uwagę, że zasada szukania źródeł i wzorów, tym razem zadaleko autora zawiodła, kiedy mu kazała

przy *Improwizacyi* wspominać Lamartine'a i Alfreda de Vigny. Przypadkowe podobieństwo wyrażeń, parę wierszy wyjętych ze swego naturalnego a zupełnie innego związku, nie dowodzą żadnej wspólności myśli, a zbliżenie, jeżeli jakie jest, to pozorne tylko i przypadkowe. *Prometeusz* Goethego, mógł istotnie zostawić w umyśle Mickiewicza jakieś bezwiedne wspomnienia. Odyniec świadczy, że on w Rzymie myślał pisać *Prometeusza*. Jeżeli tak, to musiał i czytać tego, który był przed nim gienialnie zaczęty. W Konradzie jest niewątpliwie coś prometejskiej natury, a w *Improwizacyi* jest niejakie podobieństwo sytuacyi. Są też w niej istotnie niektóre myśli, przypominające monolog Goethego.

Ale z wszelką słusznością mówi p. Kallenbach, że to jest tylko analogia, w zupełnej odmienności zasadniczej myśli, i odpiera twierdzenie, jakoby *Prometeusz* miał być „źródłem“ *Improwizacyi*.

Ustępowi *Petersburg* oddana jest sprawiedliwość; jedynie tylko niedość może zwrócona uwaga na różnicę między wulkanicznym i tytanicznym wzburzeniem uczucia w *części trzeciej*, a jego uspokojeniem w ustępie, którego ton i klassyczny wiersz kryje pod sobą tę samą siłę i ten sam ogień uczucia.

Pierwsze czasy paryskie, usposobienie i otoczenie, *Księgi pielgrzymstwa* i artykuły polityczne, wyjaśnione i ocenione są zdaniem naszem całkiem trafnie i słusznie. W artykułach tylko brak nam wskazania—i gdyby można wytłómaczenia?—różnicy w usposobieniach i sądach Mickiewicza. Jedne z nich, jak jego listy, są zbiorem prawd oczywistych, jasnego widzenia rzeczy, a nawet politycznego zmysłu. W innych trafia się zamięszanie, utopijność, czasem nawet myśli, na które ani moralny ani polityczny zmysł zgodzić się nie może. Czy to nie jest ważnym znakiem i dowodem tej rozmaitości i zawiłości pierwiastków, który p. Kallenbach w Mickiewiczu widzi od jego młodości i na który stale a słusznie zwraca uwagę?

Przy *Panu Tadeuszu* ten sam systematyczny podział i rozkład, ten sam porządny wykład jego powstania i początków, planu i budowy, osób, społeczeństwa jako takiego, humoru, opisów natury i t. d.; a w końcu przypomnienie różnych słusznych i niesłusznych sądów, współczesnych, czy dzisiejszych. Ze szczerem uznaniem i przekonaniem, czasem nie bez dotkliwej ironii, odpiera i zbija autor te sądy. Sam przypuszcza — podług nas słusznie — że skoro Mickiewicz planu sobie z góry nie zakreślił, skoro w połowie dzieła jeszcze myślał je skończyć w ośmiu pieśniach, to oczywiście nietylko plan się zmieniał, ale sam temat rósł mu pod ręką. Tym zaś przybytkiem, który w myśli poety nie zjawił się odrazu, ale później dopiero z „sielanki“, z „obrazka w rodzaju *Hermana i Dorothei*“ zrobił *Pana Tadeusza*, był zdaniem autora ksiądz Robak, i wielka, główna jego

9*

rola w przeszłych dziejach Soplicowa, jak i w tych, które stanowią współczesną treść poematu. To bardzo prawdopodobne — i chyba jakiś stanowczy dowód przeciwny mógłby zachwiać wiarę, że to prawdziwe. W częściowych studyach nad *Tadeuszem*, jak p. Biegeleisena naprzykład, a zwłaszcza p. Witkiewicza (*Mickiewicz jako kolorysta*) więcej jest życia, i więcej wniknięcia w naturę przedmiotów, w rodzaj i sekret jego piękności, co zresztą może tłómaczy się względną krótkością rozdziału, konieczną jego proporcyą do całości dzieła.

A teraz poezya się kończy, zaczyna się druga połowa zawodu Mickiewicza, która, ile sądzić możemy, nigdy dotąd nie była tak zgłębioną i tak jasno przedstawioną, jak teraz przez p. Kallenbacha. Wpływy zdarzeń czy ludzi, które na Mickiewicza działają, i powody, dla których one działają w ten sposób i wydają takie skutki, zrozumiane i wytłómaczone są jaśniej, dokładniej, gruntowniej, niż w innych nam znanych pracach. Jedna z najzawilszych, najtrudniejszych i najważniejszych kwestyj w literaturze polskiej, po tem zbadaniu może stać się znaną i zrozumiałą każdemu, kto o niej objaśnić się zechce.

Odrodzenie religijne wśród emigracyi, udział Mickiewicza, a w znacznej mierze jego inicyatywa w tej pracy, jego katolicka prawowierność i gorliwość, Bohdan Jański, i pragnienie polskiego zakonu, to wszystko służy za tło, za wstęp. Naszem zdaniem trochę za krótko, potrzebowałby szerszego rozwinięcia, ale jest. Na tem tle dopiero rysuje się rosnący niewidzialnie w duszy Mickiewicza mistycyzm. Usposobienie wrodzone i stałe, rozwijało się pod wpływem przegranej wojny roku 1831, pod wpływem tęsknot, pragnień i oburzeń, wywołanych stosunkami emigracyjnemi, pod wpływem ciągłego a coraz bardziej naprężonego oczekiwania jakichś zdarzeń, które przyjdą rychło, a zmienią postać świata. Do tego przystępuje wpływ pisarzy, do których poeta zaglądał może jeszcze w Petersburgu, ale którymi zajmował się już bardzo i stale, od Drezna. Charakterystyka Jakóba Böhma jest krótka, ale wystarczająca. St. Martin za to, ze swoją nauką, objaśniony tak, jak w żadnej polskiej książce nie był nigdy. I teraz widzi się jasno jak na dłoni, dotyka się palcem, jak jego myśli wnikają niewidzialnie w Mickiewicza, jak znajdą się kiedyś, rozwinięte i uzupełnione ale mało zmienione, w wielu punktach jego doktryny messyanicznej. W aforyzmach i wierszach, ogłoszonych w siódmym tomie *Pism Mickiewicza* (1836), już ten wpływ jest dokonany i widoczny, nietylko w przekładach lub parafrazach z St. Martina, ale w treści i w tonie tych wierszy, które Mickiewicz pisze sam z siebie. Wskazana przytem różnica: religijność więcej uczuciowa, gorętsza, naszego poety, niż francuskiego mistyka; ale wskazane razem i wzrastające pomięszanie pojęć, zacierająca się w umyśle poety różnica nie między Stwórcą a stworzeniem może, ale mię-

dzy człowiekiem a naturą; ograniczoność człowieka znika coraz bardziej, a jego zakres, jego siła rozszerza się bezgranicznie prawie. Równocześnie zaś, i równolegle, jego rozum jest coraz bardziej poniżony, upokorzony, nieledwie wzgardzony.

Pomijamy i okoliczności życia (pobyt w Lozannie), i pisma (dramata francuskie i zaczętą *Historyę Polską)*; śpieszymy do wykładów w *Collège de France.*

Ich usterki dostrzeżone są trafnie; zarzuty, nieliczne zresztą, są słuszne, a nie mniej słusznie wytłómaczone są okolicznościami. Mickiewicz nie mógł w owym czasie znać wielu rzeczy, później odkrytych i nam znajomych; nie mógł dowiedzieć się innych dla braku książek w bibliotekach paryskich. Ztąd opuszczenia, lub niedokładności, w rzeczach serbskich, kroackich, nawet po części w czeskich. Świetne przedstawienia rzeczy i pisarzy polskich, w wieku XVI zwłaszcza, świetne urywkowe obrazy z wieku XVII, i znowu doskonała znajomość i głęboka charakterystyka wieku XVIII, znajdują u p. Kallenbacha zupełną sprawiedliwość. Bardzo słusznie także uważa on, że Towiański i jego doktryna wcale nie odrazu odbijają się w *Kursach.* Stosunki są od dawna, a wykłady idą swoim torem, w całej swojej jasności. Stopniowo dopiero, i zrazu nieznacznie, spokojna bezstronność znika, a na jej miejsce wchodzi sąd surowy, dogmatyczny, nie znoszący opozycyi... Charakter narodowej poezyi polskiej ma stanowić messyanizm. Od grudnia 1842 r. do końca prelekcyj w maju 1844 r. mamy okres wykładów do tego stopnia odrębny, że Mickiewicz wydał go osobno, pod znaczącym tytułem: *L'église officielle et le messianisme.*

Autor krótko — przez uszanowanie — przechodzi dowolne *Badania starożytności słowiańskich*, a w zakończeniu uwydatniwszy jeszcze raz świetne strony *Kursów* i ich zasługę, przystępuje do Towiańskiego i towianizmu.

„Nie może być zadaniem książki, poświęconej Mickiewiczowi, dać wyczerpujący obraz Towiańskiego i jego przekonań". Tak się zastrzegłszy, daje on jednak krótką, ale dla nas bardzo przekonywującą charakterystykę „mistrza". Żadnego uprzedzenia, żadnej namiętności—żadnego przecenienia także. Towiański należy zdaniem p. Kallenbacha do licznej rodziny mistyków i wizyonerów, którzy przez ciągłe rozmyślanie i zatapianie się w kwestyach religijnych i metafizycznych, dochodzą do zaślepionej wiary w siebie samych, i do złudzenia o sobie samych. Myśli (w dobrej wierze), że ma objawienia, że jest naczyniem wybranem. Im dłużej, tem namiętniej wierzy tak w siebie, aż wreszcie uznaje się objawicielem, prorokiem (za co św. Paweł naprzykład nie miał się nigdy), z postępem czasu nowem „wcieleniem Słowa". A więc Bogiem, jak Jezus Chrystus? My tak rozumiemy Słowo i jego wcielenie; ale oni rozumieli to może inaczej, skoro Jezusa Chrystusa nazywa Towiański „pierw-

szym *po Bogu* działaczem". Towiański miał się zapewne także tylko za takiego działacza.

Jego zmysł praktyczny i zręczność w postępowaniu (pomimo mistycyzmu), występuje wyraźnie; a jego nauka, o ile ze znanych materyałów, a głównie z *Biesiady* rozpoznać się daje, streszczona jest jasno i zrozumiale podana. Kto jej nie może poznawać sam przez się z pism „mistrza", ten z tej książki może poznać ją, w ogólnym tylko zarysie prawda, ale dostatecznie.

Jakim sposobem Mickiewicz mógł uwierzyć w Towiańskiego?

Ten psychologiczny fenomen i proces wytłómaczony jest naprzód tem, czem tłómaczy go sam poeta: usposobieniem wrodzonem, pociągiem do nadzmysłowych zjawisk i stosunków, wiarą w cudowną moc uczucia i zapału, a lekceważeniem rozwagi i ziemskich środków działania. To usposobienie i jego stopniowy wzrost, wykazuje autor na wyjątkach z dzieł i listów poety. Wypadki historyczne i mistyczne czytania, łączą się z tem usposobieniem i podnoszą je do wyższej potęgi. Stan niepokoju i cierpienia spowodowany chorobą żony, dopełnia tego psychologicznego przygotowania. Pogrzeb Napoleona, myśl owładnięta wielkim człowiekiem, i pragnieniem drugiego wielkiego, któryby spełnił to, co tamten zaniedbał, przyczyniają się także do takiego rezultatu. Stan duszy jest gotowy: nagłe zjawienie się Towiańskiego, stwierdzenie (rzeczywiste lub urojone) dawnych przeczuć, uzdrowienie żony, to już tylko ostatnie, prawie materyalne wpływy, które dorzucają ostatni ciężarek na szalę i przeważają ją na stronę nowej wiary i nowej nauki. Wszystko słusznie i trafnie — ani słowa. Tylko jeden czynnik w tym procesie, wytężone oczekiwanie jakichś wypadków, które mają obalić co jest złego na świecie i świat odrodzić, to należało podkreślić silniej, wyraźniej czytelnikowi dać zobaczyć, zrozumieć i spamiętać.

Nie mniej trafnie zrozumiane i jasno określone, zmiany w usposobieniu Mickiewicza, i w stosunkach jego z „mistrzem" i z „kołem". Zrazu wiara zupełna, fanatyczna, i ślepa, a przy niej złudzenie (w dobrej wierze), że nie myśli i nie naucza nic niezgodnego z nauką Kościoła. Złudzenie dziwne, skoro w słowach i listach tak „mistrza", jak niestety i jego samego, jedna chwila zastanowienia musi wskazać głębokie i stanowcze różnice; ale taki już wyrobił się w nim stan umysłu i duszy, że tych sprzeczności widzieć i czuć nie mógł, może niedość chciał widzieć i sądzić. Praca duchowa w *Kole*, i ta *realizacya*, o której Mickiewicz sam czasem wyznaje, że nie wie, czem ona jest, sprzeczności w nauce „mistrza", wreszcie nieunikniona czczość, jaka w *Kole* powstaje z tej natężonej a bez przedmiotu i celu pracy ducha, sprowadza pewne oziębienie stosunków, i z czasem częściowe otrzeźwienie Mickiewicza. Przygotowujące się oddawna,

poszło ono głównie z odmiennego pojmowania tak zwanej *realizacyi.* Dla Towiańskiego była ona biernem przygotowywaniem przyszłości, wyrobieniem jej w duchu; Mickiewicz rozumiał, że *realizacya*, to odbudowanie Polski i królestwo Boże na ziemi, a przynajmniej coś, co je rozpoczyna faktycznie. Ztąd zmiana opinii o „mistrzu", rozłam w *Kole*, i częściowe otrzeźwienie. Ale częściowe tylko, skoro Mickiewicz osobne *Koło* zakłada, a choć się do Kościoła zbliża, choć żałuje ogłoszenia a zwłaszcza tytułu *Officyalnego kościoła*, przecież z pod powagi „mistrza" wyzwolić się zupełnie nie może, a z jego nauk wiele zachowuje i dalej propaguje. Stan sprzeczności, niejasności, częściowego zaćmienia tego słońca, które zupełnie nie ustąpi już nigdy. Pan Kallenbach opowiada to w jednym rozdziale, krótko, ale tak zrozumiale i dokładnie, tak umie wydobyć na wierzch wszystkie istotne i główne pierwiastki i momenta tych przejść, że znającemu pomaga doskonale do ich lepszego zrozumienia, a nieznającemu daje o nich pewną, jasną i wystarczającą wiadomość.

Rozdział ostatni, od r. 1848 do śmierci poety, musiał z natury rzeczy być przeważnie biograficznym tylko, a w skutku tego nie mógł przynieść nic, coby już dawniej wiadomem i znanem nie było.

W *Zakończeniu* wydobywa autor wniosek niby ze wszystkiego co dotąd powiedział, i daje ogólną charakterystykę Mickiewicza. Dochodzi ona do ostatecznej konkluzyi w słowach: „Wśród poetów świata znaleźć można większych rozumem i darem twórczym — ale drugiego poety, którzyby dla narodu swego był tem, czem dla nas Mickiewicz, niema dotąd."

Piszemy się na te słowa w zupełności, i całem sercem. Żałujemy, że nie możemy również zgodzić się na dalsze, któremi autor myśl swoją uzupełnia. „Naród polski musi duchowo dorastać do Mickiewicza: on jest wzorem ducha i miarą serca, wykreśloną nam przez Boga"; ktoby te słowa wziął na rozum i do serca bez zastrzeżeń — jak ich autor z pewnością nie pomyślał — ten mógłby z nich wnieść, że Mickiewicz ma nam być wzorem nawet kiedy błądzi, i że za tym wzorem iść powinien ślad w ślad, choćby w mistyczne złudzenia, messyaniczne doktryny. Nie możemy też bez uwagi przepuścić tych słów ostatnich, które autor przyłożył na swojej książce jak pieczęć, słów: „Ja i ojczyzna to jedno". W samem uniesieniu *Improwizacyi*, Mickiewicz, mamy przekonanie, rozumiał czy czuł je tak, że on stopił się i roztopił w ojczyźnie, nie że ona skupiła i streściła się w nim. Ale co w tem rozumieniu i w stanie wyjątkowej ekstazy ujść może, to powtarzanem być nie powinno. Żaden człowiek na świecie nie ma prawa powiedzieć o sobie, że „on i ojczyzna to jedno". Ludwik XIV powiedział to tylko o państwie, a to słowo, wykonane w praktyce, *zrealizowane*, do dziś dnia mści się na jego domu, na jego państwie,

i, co dopiero najgorzej, na jego ojczyźnie. Ojczyzna zaś, to nierównie, nieskończenie więcej niż państwo. Ani o sobie samym, ani o żadnym drugim człowieku, nie należy mówić, że jest „jedno z ojczyzną“.

W *Dodatku* wcale ciekawy a nieznany pamiętnik Henryka Nakwaskiego, do Mickiewicza się odnoszący, kilka listów jego, Klementyny Hoffmanowej i pani Gropplerowej, te ostatnie z czasu pobytu Mickiewicza w Konstantynopolu.

O dziele p. Kallenbacha powtarzamy na końcu to, cośmy o niem powiedzieli na wstępie. Możemy sobie wyobrazić lepsze, o jeden ton wyższe, dzieło o Mickiewiczu. Ale między temi, które są, nie możemy wskazać lepszego o całym żywocie i zawodzie poety — ani lepszego, ani nawet równego.

St. Tarnowski.

Centnerszwerowa R.